



## ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

# „Matka odchodzi”, my tęsknimy

**T**o jedno przedstawienie – umieszczone skromnie w ofercie TVP Kultura, a nie Jedyńki – budzi nadzieję, że misja kulturotwórcza Teatru Telewizji nie wygasa. „Matka odchodzi” to adaptacja ostatniego dzieła Tadeusza Różewicza (z 1999 r.).

To zarazem debiut reżyserski Przemysława Stippa, jednego z najciekawszych aktorów średniego pokolenia. Dopiero co w Teatrze Telewizji oglądaliśmy jego kreacje: szekspirowskiego Hamleta, Jęzorego we „W małym dworku” Witkacego czy pisarza w „Znakach” Jarosława Jakubowskiego. Słuchając jego wypowiedzi i patrząc na jego pracę nad tekstem, nabrałem przekonania, że on sam będzie reżyserował artystyczne cacka.

Książka Różewicza to zbiór zapisków poety i jego brata Stanisława, wierszy o ich matce Stefanii, relacji o jej bolesnym odchodzeniu w szpitalu w roku 1957, a wreszcie listów i wspomnień samej matki, kobiety ze wsi Szynkielew w powiecie wieluńskim, malującej obraz prostego, biednego życia przed I wojną światową. Spektakl zaczyna się od wyznania autora, że zaniedbał matkę, że nie pokazał jej świata. Taki rodzinno-życiowy ekshibicjonizm przekuwany w sztukę budzi wątpliwości, a jednak ta relacja brzmi szczerze. Ktoś powiedział, że po tym przedstawieniu każdy ma ochotę zadzwonić do swojej mamy. Moja umarła 30 lat temu. Ale i ja poczułem ten odruch.

Brzmi to podwójnie szczerze, kiedy poetę gra subtelnie, głównie samym głosem, Jerzy Trela. Jednak „Matka odchodzi” to przede wszystkim aktorski popis Magdaleny Kuty. Kojarzona głównie z rolami komediowymi (pani Lodzia z serialu „Ranczo”) jest tu przejmująco prawdziwa. Nie boi się chwil, kiedy kamera odsłania kawałki jej niemłodego już ciała. Jej charakterystyczna, może nawet i zabawna, twarz staje się w miarę opowieści natchniona i piękna.

Duża część tej historii to opis, w którym nie ma matki ani syna. Jest za to wieś Szynkielew żyjąca w rytmie pór roku, kojarząca się z opisami Władysława Reymonta czy Wiesława Myślińskiego. Przecież

to rodowód znacznej większości Polaków, we wszystkim, łącznie z dawną, wszechogarniającą biedą – Różewicz się z tym dziedzictwem utożsamiał. A zarazem doznajemy wrażenia, że te coraz bardziej emocjonalne relacje matki o jej dawnym świecie są „zamiast”. Zamiast ich wzajemnej czułości, zamiast ujawniania więzi. Czułość i więź pojawiają się z rzadka, ujawniane wstydliwie. Ale dlatego to tak bardzo porusza.

Życie było w istocie jeszcze bardziej skomplikowane. Matka poety to Żydówka, która zmieniła wyznanie, aby poślubić katolika. Z pewnych wątków Stippa zrezygnował, choćby z zapisu doświadczenia II wojny światowej, kiedy Stefania straciła jednego z czterech synów. Ale choć materia tej opowieści jest chaotyczna, porwana, dawno nie chłonałem czegoś tak celnie podsumowującego fenomen macierzyństwa. Matka jawi się tu jako ktoś uczący najprostszycy pojęć przyszłego mędrca. Jej mocna wiara w Boga zderza się z jego kruchą, niepewną niewiarą.

Są sugestywne dekoracje Aleksandry Redy – spływające z góry na wół przezroczyście lub naznaczone grafikami za-



ślony skonstrastowane z ascetycznym wystrojem szpitalnej sali czy z nagromadzeniem sprzętów w peerelowskim mieszkaniu. Jest znakomita, rozlewna, a chwilami niepokojąca muzyka Tomasza Sroczyńskiego, która mogłaby towarzyszyć „Chłopom” Reymonta. I są fenomenalne zdjęcia Macieja Lisieckiego – zaskakujące zbliżenia czy zbitki obrazów budują nastrój. To wszystko złożył w całość arcywrażliwy artysta Przemysław Stippa. Co nam zaproponuje w przyszłości?

**Piotr Zaremba**